

Łukasz Warzecha: Co dalej z Unią?

Wygląda na to, że deficyt demokracji jest już wpisany w sposób funkcjonowania Unii Europejskiej takiej, jaką ona jest dzisiaj



Wygląda na to, że deficyt demokracji jest już wpisany w sposób funkcjonowania Unii Europejskiej takiej, jaką ona jest dzisiaj

Uczestniczyłem niedawno w zamkniętym spotkaniu, w którym prócz mnie brali udział przedstawiciele kilku polskich instytutów, zajmujących się sprawami międzynarodowymi, w tym oczywiście także Unią Europejską. Gospodarz spotkania był przedstawicielem kraju do UE nienależącego. Słuchał wywodów niektórych spośród swoich gości i

w pewnym momencie zauważył: „Mam wrażenie, że poruszacie się trochę między skrajnościami. Gdy była mowa o udziale Polski w operacji w Iraku, pojawiły się głosy, że nic w zamian nie uzyskaliście. To była refleksja w typie transakcyjnym: coś za coś. Kiedy teraz słyszę, jak mówicie o Unii, wydaje mi się, że to druga skrajność, tak jakby nie istniały interesy czy rozbieżne kierunki polityki”.

Spostrzeżenie było jak najbardziej trafne. Istotnie, wypowiedzi niektórych spośród gości mieściły się w doskonale znanym kanonie specyficznie pojmowanej „politycznej poprawności” w mówieniu o sytuacji w Unii, który zdaje się być definiowany m.in. przez szefa MSZ. Kanon ów można streścić w kilku banalnych frazesach o doskonałych stosunkach z najważniejszymi państwami UE, o rosnącym statusie Polski w Unii, o świetnej opinii, jaką mamy. Na co się to konkretnie przekłada – trudno powiedzieć. Jak opowiadał pewien zagraniczny znajomy, kiedy zapytał jednego z polskich polityków z partii rządzącej, jak wyglądają stosunki Polski z Niemcami, ten odpowiedział: „Znakomicie, z wyjątkiem Nordstreamu”. „To tak – stwierdził mój znajomy – jakby ktoś powiedział, że jego małżeństwo ma się świetnie poza tym drobnym mankamentem, że żona go zdradza”.

Prawda jest, rzecz jasna, całkiem inna, i to nawet jeśli przyjąć, że najczarniejsze prognozy, dotyczące dalszych losów Unii Europejskiej są przesadzone. Potencjalnych czynników, sprzyjających dezintegracji tej struktury, jest mnóstwo, choć trudno sobie wyobrazić, aby była to dezintegracja nagła i spektakularna. Będzie raczej stopniowa i być może dla szerokiej publiczności niedostrzegalna. Po prostu w ciągu kilkunastu lat okaże się, że jesteśmy w całkiem innej organizacji niż ta, do której wstępowaliśmy, tak jak to się stało z NATO.

Po pierwsze – kryzys finansowy i gospodarczy sprawia, że rośnie dysproporcja znaczenia najważniejszych, a więc i najbogatszych członków UE w stosunku do mniejszych i uboższych. Przykład Grecji jest tutaj najjaskrawszy. Ci, którzy kredytują i pożyczają – zresztą z coraz większymi oporami – uznają za naturalne, że z tego powodu powinni mieć więcej do powiedzenia, z interwencją w te kwestie wewnętrzne słabszych, które dotąd były sferą ich suwerenności – np. przebieg prywatyzacji lub reżim podatkowy, dotyczący działalności zagranicznych firm. Przerażone własną sytuacją rządy krajów mniejszych, zwłaszcza będących w fatalnej sytuacji, mogą się na takie stawianie sprawy godzić. Pytanie, czy godzić się będą także społeczeństwa tych krajów.

Po drugie – wewnątrzunijna solidarność podlega w ten sposób daleko idącemu wypaczeniu. Jej pierwotną podstawą było przekonanie, że bogatsi powinni wspomagać biedniejszych w imię strategicznego interesu całej Unii, czyli także dla własnej korzyści, ale rozumianej jako długookresowa inwestycja. Było jasne, że pomiędzy państwami członkowskimi istnieje dysproporcja znaczenia – Belgia nie miała do powiedzenia tyle samo co Francja czy Niemcy – ale nie była ona ogromna ani też nie miała charakteru otwarcie transakcyjnego. W obliczu kryzysu to się zmienia. Solidarność rozumiana jako inwestycja w przyszłość znika, a zastępuje ją bardzo bieżące działanie, mające na celu zażegnanie katastrofy. Ceną za tę doraźną pomoc jest brutalna redukcja siły politycznej beneficjentów pomocy.

Po trzecie – niepewny los politycznego projektu wspólnej waluty, który nigdy nie był oparty na solidnych ekonomicznych podstawach.

Po czwarte – pogłębiają się procesy, które dezintegracyjnie: przede wszystkim walka kultur, związana z imigracją, zwłaszcza z krajów islamu. Na wynikające z tego napięcia nie znaleziono żadnej skutecznej recepty. Multi-kulti ponosi spektakularną klęskę, integracja zawodzi, roszczenia rosną – nie tylko finansowe, ale i kulturowe. A trzeba pamiętać, że u podstaw projektu unijnego nie stała jakaś wysterlizowana idea, oderwana od kulturowych korzeni i podstaw, ale idea bardzo konkretnie zakorzeniona w europejskim dziedzictwie nie tylko kulturowym i historycznym, ale i religijnym. Gdy Unia postanowiła z nim zerwać, pozbawiła się podstawowego instrumentu w walce z kulturową agresją islamu.

Po piąte – nie zrobiono nic z tak zwanym deficytem demokratycznym. Na ten problem jako ostatni zwracał głośno uwagę Declan Ganley, powszechnie wyśmiewany przez elity za swoje poglądy. Wielokrotnie wypowiadał się o tej kwestii także Nigel Farage. Kwintesencją pogardy, jaką elity darzą proces demokratyczny, było wymuszenie na Irlandii jedynie słusznej decyzji w kwestii traktatu lizbońskiego.

Wygląda na to, że deficyt demokracji jest już wpisany w sposób funkcjonowania Unii Europejskiej takiej, jaką ona jest dzisiaj. Większość strategicznych projektów politycznych ma swoje źródło w Radzie Europejskiej (patrz kwestia pierwsza) lub wewnątrz unijnej administracji, czyli w Komisji Europejskiej, poszukującej ideologicznych spoin dla UE wobec rezygnacji ze spoin kulturowych. Takie jest źródło np. ideologii klimatycznej, której wdrażanie *per fas et nefas* przyniesie ogromne szkody obywatelom zwłaszcza słabszych

państw, a całkiem przy okazji będzie sprzyjać interesom najsilniejszych. To zresztą idealny przykład syntezy interesów najważniejszych państw UE i administracji.

Strategiczne projekty są przepychane kompletnie bez kontaktu z potrzebami obywateli, co przykrywane jest żenującymi grami pozorów w rodzaju internetowych konsultacji społecznych.

Potencjalnych czynników, mogących Unię rozerwać, zdeintegrować lub sprowadzić do roli pozornej gry instytucjonalnej, gdy w rzeczywistości będzie to już tylko instrument do brutalnej realizacji interesów najsilniejszych, jest jeszcze wiele. Wymieniłem jedynie te moim zdaniem najważniejsze.

Tym bardziej zatrważające jest, że tak wielu polskich ekspertów od spraw unijnych, uzależnionych od brukselskich grantów i dofinansowań, żyje w świecie ułudy, zachowując się, jakby wszystko było w idealnym porządku. Co musi się stać, żeby wyrwać ich z letargu i aby zaczęli mówić o faktycznym stanie rzeczy? A może to im się po prostu nie opłaca?

Łukasz Warzecha